

Plastyka

Teatr

Film

DREWNIANY MAKBET

Jan Kłossowicz

Na scenie Teatru Narodowego leży strasznie dużo drewna. Belki i deski starannie pomalowane na czarno udają, że są osmolone przez ogień. Poukładane w sagi, pozbijane i wypiętrzone pod paludament tworzą budowlę — Symbol — nie wiadomo czego. W tym spalonym i pogrążonym w ciemności teatrze wszystko jest pognure. Aktorzy ubrani w skórzane kostiumy zapinane na błyskawiczne zamki patrzą srogo w widownię i grają. Najwięcej gra Makbet i Lady Makbet, ale ich dialogi i monologi giną w drewnie. Najgłośniej krzyczy Malcolm, a najbardziej ponury jest król Duncan, jakby od początku wiedział, że Makbet go zaszlachtuje. Wesołe i płasające są jedynie czarownice, którym przewodzi kobieta z brodą.

Przecież tu grają doskonali aktorzy. Makbet, to Pszoniak, Lady Makbet — Kucówna, Macduff — Chamec, Duncan — Hanuszkiewicz, Odźwierny — Dzwonkowski, a kobieta z brodą, to Lutkiewicz. I nikt z nich właściwie nie gra słabo, tylko ich gra nic nie znaczy, nic nikogo w ich grze nie obchodzi.



„Makbet” — Zofia Kucówna
i Wojciech Pszoniak Fot. L. Dudley

Przecież na tej samej scenie Hanuszkiewicz zrobił bardzo dobrego „Hamleta”, a Kucówna świetnie grała Królową. Przecież Pszoniak niemal równolegle gra wspaniałą rolę we „Wszystko dobre co się dobrze kończy”. Tutaj aktorzy są nijacy, bezbarwni, piorunująca akcja „Makbeta” wlecze się, mimo że przedstawienie nie jest wcale długie.

Wygląda to, jakby jakieś fatum ciążyło nad tym spektaklem, jakby w granej przez dobrych aktorów jednej z największych tragedii Szekspira zabrakło powietrza na scenie, jakby szekspirowskie monologii straciły sens i znaczenie, a sceniczne działanie rozpadło się na luźne epizody. W gruncie rzeczy nie ma tu złych ról, a konstrukcja wzniesiona przez Kołodzieja nie jest brzydka. Okazuje się jednak, że to za mało.

Dobrze znana jest opinia, zgodnie z którą „Makbet” uważany jest za pechową sztukę. Co więcej, jest to opinia uzasadniona. Kroniki polskiego teatru nie odnotowują żadnej naprawdę udanej inscenizacji. Za to leżało w „Makbecie” już bardzo wielu aktorów z kilku pokoleń, od największych mistrzów sceny poczynając. „Makbet” raz po raz przemienia się w nudną pilę, w popis fałszywych gestów i zły deklamacji. Dlaczego tak się dzieje? Może sama sztuka, wbrew wszelkim interpretacjom, jest pusta? Ale przecież jest w niej wspaniały monolog, z którego Faulkner wysnuł swoją najważniejszą powieść. Jest w niej równa „Ryszardowi III” kondensacja walki o władzę i mało mająca sobie równych analiza mechanizmu zbrodni i opis kariery tyrańcy — od zamachu stanu po klęskę i śmierć. Dlaczego więc wciąż ktoś w „Makbecie” leży jak długi na scenie, a sfera recenzentów szarpie go i wyśmiewa? Dlaczego nikomu nie wiadzie się inscenizacja sztuki, która wydaje się teatralnym samograjem? Może właśnie dlatego, zdaje się, że „Makbeta” wystarczy po prostu zagrać. Role są znakomite, konstrukcja zwarta, są popisowe sceny i monologii, które muszą się podobać. Reżyser rozdaje role, scenograf buduje na scenie zamek, aktorzy grają i nic z tego nie wychodzi.

Kiedy „Makbeta” grywano jak operę, a publiczność czekała tylko arii ze sztyletem lub arii lunatyczki, było parę

popisów, choć nie było inscenizacji. Dzisiaj i tego nie ma, bo aktor, który dmie się i puszy podczas swojego kwadransa na scenie, wydaje się nam szaleńcem, a z jego popisowego monologu dochodzi nas tylko krzyk i bezsilna pasja, które nic nie znaczą.

W złośliwie, tak niby prosto i „popisowo” napisanym „Makbecie”, potwierdza się reguła współczesnego teatru, która mówi, że nawet wystawiając Szekspira, trzeba go po coś i dla czegoś wystawić. Inaczej nie warto. Teatr, choć wszyscy już uwierzyli w jego autonomię, nie jest instrumentem na kształt organków, i nie wystarczy tylko go nadać, żeby wszystko grało. Jest w tym rzeczywiście jakaś diabelska złośliwość literatury, która stłamszona we współczesnym teatrze potrafi brać srogi odwet na inscenizatorach. „Makbeta” nie trzeba adaptować, nie można go zmienić w pantomimę, ale nie można go po prostu — zagrać — trzeba go czytać i interpretować. Trzeba w nim szukać.

Może wszystkiemu są winne przekłady? Prawda, że przekład Paszkowskiego jest niezbyt udany, a współczesny widz czasem rozumie jego tekst dość opacznie. Sam pamiętam aktorkę, która grając jedną z czarownic odczytywała swoją kwestię: „świnie rzną” zupełnie inaczej, niż to zamierzył Paszkowski, i podejrzewała pocziwego tłumacza o straszliwą perwersję. Hanuszkiewicz wystawił „Makbeta” w przekładzie Sity (również w jego przekładzie grany był w Narodowym „Hamlet”). Można temu przekładowi wiele zarzucić, ale jest on na pewno zrozumiały i nadaje się do mówienia, nie ma też wcale zbytnio treści oryginału, chyba, że zacznie się go odczytywać, tak, jak owa aktorka odczytywała sobie Paszkowskiego. A ileż zresztą było świetnych przedstawień szekspirowskich w dużo gorszych przekładach. Tylko „Makbet”, nie lepiej i nie gorzej od innych sztuk Szekspira na polski przekładany, wciąż się nie udaje. Nie udało się i tym razem. Kto wreszcie przełamie złą passę?

Teatr Narodowy w Warszawie: Wiliam Szekspir: „Makbet”. Reżyseria: Adam Hanuszkiewicz. Scenografia: Marian Kołodziej. Muzyka: Maciej Małecki. Premiera w grudniu 1972 r.